

Teatr Domowy.

ZBIÓR KOMEDYJEK DLA MŁODZIEŻY.

PAWLIK
TOM II.

WARSZAWA.

Nakładem „Wieczorów Rodzinnych”.

Marya Kaczkowska.

Wycieczka w góry.

Komedyjka w 2 aktach.

Oryginalnie napisana.

OSOBY:

P. BONIFACY GĄSIEWICZ bogaty przemysłowiec.

P. EULALJA jego żona.

ZEFIRYNA ich córka.

DOKTÓR PRAWDZICKI.

P. LABUSIEWICZ obywatel z Litwy.

P. LABUSIEWICZOWA jego żona.

FELISJA 8 letnia ich córeczka.

BARON PIĘCKI obywatel z Galicyi.

HERMINJA jego żona.

BANKIEROWA ze Lwowa.

PRZEWODNIK WAWRZEK góral.

BASIA jego siostra.

BRYGIDA ich babka.

ELIZA panna służąca baronowej.

Rzecz dzieje się częścią w Łodzi, częścią
w Szczawnicy i w górach.

AKT I.

Scena przedstawia gabinet męski, 2 fotele, parę krzeseł
biurko duże na prawo od widzów, na nim przyrządy
do pisania, na lewo stół dosyć duży, z przyrządami do
palenia, przy nim krzesła, fotele dwa, sofa, na ścianach
obrazy — rodzajowe. — Pod biurkiem i stołem dywany.
W pokoju troje drzwi. W głębi wejście z zewnątrz, po
prawej i lewej ręce do pokoi we wnętrzu domu.

SCENA I.

P. Gąsiewicz siedzi sam przy biurku w rannym
stroju, szlafroku wzorzystym; na głowie aksamitna
czapeczka — nogi w pantoflach, oparte na ławeczce.
Czyta gazetę—po podniesieniu kurtyny składa ją i uderza
się po kolanie.

Szczęśliwy to kraj ta Anglia, szczęśliwy na-
ród ci anglicy!

Bo proszę ja państwa, co to za szanse, po-
dróżują całe życie! (przechadza się po scenie). Jadą
koleją, to znów statkiem parowym do Ameryki,
próbują aeroplanów lub innych statków, panie
łaskawy i zawsze coś nowego zobaczą. Przy
zwiedzaniu nowych widoków, krajów, przemysł-

wych zakładów, nabierają nowych wiadomości, łatwiej przychodzi do głowy pomysł genialny—proszę ja państwa, za każdy nowy wynalazek markę, patent, pod karą kładzie się zastrzeżenie naśladownictwa. U nich to taki zwyczaj. Niewolno podrabiać. Kraj cały osłania opieką wynalazcę. Przemysł kwitnie i w tych warunkach rozszerza się.—Nieraz sobie myślę dlaczego nie jestem anglikiem? (siada). Czuję pod czaszką jak wiele mieści się tam myśli, które gdybym mógł wykonać byłbym równie wielkim jak wszyscy Johnsonowie et compani, miałbym za wynalazek, markę, byłbym podziwianym.—Tymczasem jako prosty Gąsiewicz, nie mogę do niczego dojść więcej, jak do tego, że jestem fabrykantem lichych zapalek! i to jeszcze ze mną inni współzawodniczą. Taki — Gerstenzweig wyrabia takie same zapaliki i sprzedaje je o kopiejkę taniej! Wprawdzie dziękować Bogu, mam pokaźny kapitałik, z czego żyć mogę dostatnio, ale to nie pole do działania — powinienem wypłynąć na szersze wody! Żona moja, śmieje się ze mnie, że mam słabość do tych wyspiarzy, ale ja zawsze to samo mówię, niema jak Anglia i wszystko co angielskie proteguję z góry, aż do bokobrodów, które hoduje i uwielbiam. (Wstaje, przechodzi się po scenie, przegląda się w lustrze, gładzi faworyty). Szkoda, że nie mówię po angielsku, ach, gdybym posiadał ten język! Człowiek od młodości, w ciężkiej pracy. — Zabrakło czasu, na studia

lingwistyczne! A nie raz zastanawiam się, jak to pięknie brzmi, powitanie po angielsku: Hau du ju du! albo: Yes, yes—co znaczy: Jak się masz. — Tak, tak.

(Siada i powtarza te wyrazy z oczyma zamkniętymi).

SCENA II.

Gąsiewicz i Gąsiewiczowa.

Gąsiewiczowa wchodzi szybko drzwiami na lewo, w ranym szlafrocuku, w czepeczku, w białym fartuchu.

P. Gąsiewiczowa.

Bonusiu, duszko, daruj, że ci przerywam za-myślenie, ale ważna mnie zmusza do tego sprawa... Potrzebuję twojej rady, pomocy!

P. Gąsiewicz (budząc się z zadumy, wstaje).

Ważna sprawa? mów, mów, Eulalcio, słucham cię, słucham. Dumałem dziecko, marzyłem, a wiesz o czym? O Anglii, tak o Anglii, jak zawsze. To moja idea fixa.

P. Eulalja.

Ty zawsze myślisz o swej Anglii, a tu takie ważne sprawy blisko nas obchodzące zasypiają w popiele.

P. Gąsiewicz.

W popiele? Proszę ja państwa, to zarzut niezasłużony, jeszcze czyni go własna żona.

Ja załegam sprawy w popiele, ja, który ciągle idę z postępem — czytam wszystkie pisma, wiem co się w świecie dzieje (chodzi po salonie wzburzony) wiem co się dzieje w Anglii!

P. Eulalja (chodzi za nim i mówi).

Mój Boniu uspokój się, nie obrażaj się, nie myśl choć chwilę o swej wielkości, o której nikt nie wątpi, ale tu idzie o naszą córkę, o jedynaczkę kochaną, o Zefirynę.

P. Gąsiewicz (przystaje z żywością).

O Zefirynę, mówisz o Zefirynę. Kobieto, co się stało?

P. Eulalja.

Niema nic złego jeszcze, ale być może. Człowieku chyba oczu nie masz, że nie widzisz, jak dziecko to mizernieje, smutne ginie.

P. Gąsiewicz (zdziwiony).

Rzeczywiście, nie widzę. Wygląda według mnie dobrze, je dobrze. Niedawno mówiłaś, że wyrosła ze wszystkich sukienek i proszę ja państwa, pięć sztuk trzeba było sprawić—wszystkie były za kolana?

P. Eulalja.

Właśnie, ten szybki wzrost mnie niepokoi—teraz wiosna, należałoby wezwać doktora. Mnie się zdaje, że ona powinna jechać za granicę—trzeba ratować dziecko.

P. Gąsiewicz.

Naturalnie trzeba ratować dziecko, a kiedy ty to mówisz, poślę po doktora Prawdzickiego, niech radzi. Zna Zefirynę od dziecka. Anglik powiedziałby yes, wiałby torbę podróżną, kij okuty — przewodnika książkę — Bedekera — płaszcz gumowy i naprzód. — Szedłby zwiedzić nieznane kraje i wrócił z marką zdrowia.

P. Eulalja.

On znowu swoje! ależ to idzie o Zefirynę!

SCENA III.

Ciż i doktor.

Doktor wchodzi drzwiami w głębi, w ręku kapelusz.

Czy nie przeszkadzam? (zatrzymuje się) Całuję rączki pani dobrodziejki (całuje w rękę Gąsiewiczową, podaje rękę Gąsiewiczowi). Sługa pana dobrodzieja. Przechodząc tędy, wstąpiłem, aby dowiedzieć się o zdrowie państwa i pożegnać. — Z początkiem przyszłego tygodnia wyjeżdżam na sezon letni za granicę.

P. Gąsiewicz (ściskając rękę doktora).

Szanowny Eskulap, jakby wołany, jakby przeżył, że za nim tęsknimy. Właśnie miałem prosić — posyłać po was doktorze. Rzecz nie

cierpiąca zwłoki. Spadłeś nam z nieba!—Jesteś proszę państwa tak, jakby to Anglik powiedział, patent doktor — siadaj — pogadamy. (podsuwa doktorowi krzesło, sam siada około niego na lewo pani Gąsiewiczowa w środku na sofie).

Doktor.

Czy kto u państwa chory?

P. Eulalja.

Idzie tu o naszą jedynaczkę.

Doktor.

Panna Zefiryna chora?

P. Gąsiewicz.

Widzisz doktorze, chora nie chora, ale żona powiada, że mizerna, smutna, potrzeba jej koniecznie wyjechać do wód, do gór, do morza, albo coś podobnego, o czym my nie wiemy, bośmy nie doktorzy.

P. Eulalja.

Serce matki przeczuwa, że trzeba ratować jedyne dziecko!

Doktor.

Jakie są symptomy niezdrovia, błąda, niema apetytu? Może to anemja. W tak młodym wieku brak sił apatja, niedobre znaki, należy zbadać. Zadziwia mnie to jednak, niedawno widziałem pannę Zefirynę, wyglądała doskonale.

P. Eulalja.

To tylko pozory doktorze, pozory, niezwykle rozdrażnienie, niezadowolenie, nieukontentowanie.

P. Gąsiewicz.

Niema co mówić trzeba jechać. Anglik powiedziałby yes, i pojechałby, nie czekając katastrofy.

Doktor.

Pozwólcie mi zbadać stan córki, zobaczyć pannę Zefirynę. Możeby w domu znaleźć można radę, stosowne lekarstwo...

P. Gąsiewicz.

W domu? Cóż znowu. Żona powiedziała jechać trzeba, to trzeba panie doktorze, niema rady.

P. Eulalja.

Idę po Zefircię, jestem pewna, że doktor, zdanie moje potwierdzi. (wstaje, wychodzi).

SCENA IV.

Ciż bez p. Eulalji.

P. Gąsiewicz (podaje doktorowi cygara).

Proszę, proszę, szanownego doktora, świeże hawańskie, przesyła mi je znana firma, po 25 k.

jedno sprobój, no sprobój doktorze. (spogląda na swój ubiór). Daruj doktorze, że cię tak przyjmuję en negliżé, ale zajęcia, praca od rana. Tak wiele mam do czynienia, przeczytanie wszystkich anonsów, zajmuje mi cały ranek, tem więcej, że pracuję obecnie nad nowym wynalazkiem.

Doktór (z uśmiechem).

No, cóż nowego błysnęło panu dobrodziejowi, słucham.

P. Gąsiewicz (z powagą).

Zapałki dotąd, zapalają się za pomocą potarcia, otóż pracuję nad tem, aby wynaleść sposób zapalania za pomocą dotknięcia. — Jestem na drodze do rozwiązania kwestyi. — Skoro myśl ta dojrzeje jadę do Anglii, słyszysz doktorze, przedstawiam mój wynalazek. Otrzymuję markę, patent i własność wynalazku — niedopuszczalne fałszowanie i podrabianie. I proszę państwa, świat cały mnie podziwiał! Trzebaby tylko zmienić nazwisko, gdyż żaden z genialnych Anglików nie przeczyta należycie Gąsiewicz. Prawda doktorze?

Doktór (budzi się z zamyślenia).

Tak Anglia godna zazdrości. — Dlaczego jednak wyrzekać się masz pan narodowości swojej?

Gąsiewicz.

No tak, jeszcze się namyślę — ale dziwne przywiązanie moje do Anglii tak, ja muszę być tam kiedyś.

Doktór.

Pojmuję pana aspiracye, pojmuję (na stronie). Straci i wywiezie pieniądze do obcego kraju — (do Gąsiewicza). Pańska żona życzy sobie, abym potwierdził jej pragnienie wyjazdu za granicę. Mogłoby to wpłynąć dodatnio na zdrowie pańskiej córki, ale ja z zasady jestem zawsze za miejscowościami krajowemi i dlatego radzę Szczawnicę, gdzie sam jadę jako ordynujący lekarz. Mógłbym więc państwu być doradcą i przewodnikiem. Miejsce urocze, powietrze górskie uzdrawiające, — samo przebywanie w niem działa bajecznie.

Gąsiewicz (wstając).

To szczęśliwy zbieg okoliczności, świetnie, więc rzecz ułożona. Biegnę pakować rzeczy. Wprawdzie ja za zawsze jestem jakby w podróży wiesz kochany doktorze? Mam takie przyzwyczajenie, że mój kuferek zawsze jest spakowany. Jestem jak ten anglik o którym czytałem kiedyś, że zamiast szaf miał, aż trzy kufry, które co tydzień rozpakowywał i zapakowywał, aby nie tracić czasu na wypadek, kiedy będzie miał zamiar udać się w podróż.

Doktór (śmiejąc się).

Topomysł doskonały. Jestem nim zachwycony.

Gąsiewicz (z ożywieniem).

Zabiorę mój kij sękaty — podróżny — mekendosi — Bedekera — parasole i sześć kape-luszy. Każdy na inną aure. Można sobie wy-stawić żdziwienie, gdy mnie zobaczą prawie co dzień w innym nakryciu głowy, — w ubraniach z materiałów prawdziwie oryginalnych, sprowa-dzonych z Anglii — czapki patent!

Doktór.

Ależ panie dobrodzieju, mówisz o podróży jakby to było postanowione, a przecież jeszcze nie wiemy, czy zdrowie panny Zefiryny wymaga tego.

SCENA V.

Ciż p. Eulalja i Zefiryna.

Zefiryna w sukni lekkiej—pretensjonalnie ubrana i ucze-sana, w rękę trzyma francuską książkę. — Wyraz twarzy wyraża niezadowolenie. Wszedłszy zaledwie skinęła głową doktorowi, siada na fotelu niedbale.

P. Eulalja (do Gąsiewicza półgłosem).

Zaledwie mogłam ją skłonić aby tu przyszła, jest nie w humorze (do Zefiryny). Spójrz kochanie, pan doktor jest tu, czeka na ciebie.

Zefiryna (podnosi spuszczone oczy).

Widzę i witam. Dobrawdy nie rozumiem czego chcą ode mnie. Mama przerwała mi zaj-mujące czytanie świeżo przystanej książki przez pannę Grassy z Paryża, w dodatku wmawia we mnie jakąś chorobę.

P. Eulalja.

Ależ dziecko — serce matki przeczuwa co brakuje jej jedynaczce. Jesteś smutna, niezadowolona. — Pan doktor taki nasz przyjaciel proponuje podróż w góry.

P. Gąsiewicz (zbliża się do córki).

Aniołku, jakże ci się spało. Jesteś mi mi-zerna. Mama mówi, że nie masz apetytu, — nie jesz, a to grunt. Mama mówi, że dobrzeby jechać w góry, więc pojedziemy w góry. — Ja dla ciebie niczego nie pożałuję, bo proszę ja państwa, przecież to dla mnie bagatela. Je-szcze Gąsiewicza stać na to, aby wyjechał za granicę choćby do Anglii.

Zefiryna (kładzie książkę z zajęciem).

A gdzież mamy jechać: do Francji, do Szwaj-caryi, w Alpy lub Pireneje?

P. Gąsiewicz.

Doktór radzi do Szczawnicy.

Teatr domowy. Tom II.

Z e f i r y n a (z dąsem).

Dziękuję. Aby zabierać z sobą pościel, kucharkę, gospodarstwo i być ciągle w towarzystwie hałaciarzy, wolę pozostać w domu.

P. E u l a l j a.

Ależ nie znasz tych kąpieli. — Doktorze prawda...

D o k t ó r (który od chwili wejścia Zefiryny, przyglądał się jej uważnie zbliża się).

Tak, ja radzę swojskie wody. Poznanie cudnych Pienin, Karpat naszych, jest obowiązkiem każdego polaka, podziwiamy co obce, a swoje go nie znamy. Ale zanim zapiszę jakąkolwiek kurację, muszę wiedzieć co chorej dolega, i czy kuracya jest potrzebna.

P. G ą s i e w i c z.

Niema o czem mówić, jest konieczna. Moja Zefirciu nie dziwacz, powiedz wszystko doktorowi gdzie cię boli, gdzie cię kole, co ci brakuje. Bo to proszę ja państwa, doktor to jak spowiednik, przed nim nic zataić nie należy co do zdrowia. Ja muszę iść do mojej fabryki, na chwileczkę i zmienić ranny desabile, zaraz wrócę, aby dowiedzieć się o decyzji doktora (na stronie). Przejrzę kufry i poślę po pasport (do doktora). Do widzenia — do widzenia (wychodzi).

SCENA IV.

Ciż bez Gąsiewicza.

Doktor siada około Zefiryny bierze ją za rękę i chce zbadać puls — ona się broni.

Z e f i r y n a.

To czysta komedya!

P. E u l a l j a.

Ależ Zefirynko—proszę cię miej litość nad nami, pamiętaj, że tu idzie o zdrowie twoje, może o życie, o przyszłość twoją.

D o k t ó r (do p. Eulalii).

Nie widzę aby panna Zefiryna była niebezpiecznie chora, ma tyle siły woli, a tę posiadają zwykle ludzie zdrowi. Jednak dla wzmocnienia energii jaką obdarzyła ją natura, radziłbym pewną zmianę miejsca, — by ukoić wzburzone nerwy.

Z e f i r y n a (wybuchając).

Widzę że doktor szydzi ze mnie (wstaje i idzie na przód sceny). Ja mam być szczęśliwą, zadowoloną! Żyć w tem wstrętnem mieście,—bez powietrza, pozbawiona towarzystwa — które odpowiadałoby mojemu umysłowi,—po odjeździe francuzki która jedna mnie rozumiała, jedynie w lekturze szukam rozrywki i zapomnienia

o smutnem otoczeniu — przenoszę się w inne strony, wśród inaczej czujących ludzi, innej cywilizacji. I ja mam wegetować tu z uśmiechem na ustach, z zadowoleniem ze swego losu? Nie, to niepodobna.

(Przechadza się na przodzie sceny wzburzona).

P. Eulalja

Możemy więc mówić szczerze, bo przed doktorem przyjacielem, nie mamy tajemnic. To mnie właśnie smuci, że dziecko własne, jest wśród nas obce, sądziłam, że wyjazd...

Zefiryna (przerywając).

Ale jaki? Myślałam, że zawieziecie mnie do pięknej Francji, do Szwajcaryi, Włoch, a tu mi radzą zapadłą Szczawnicę? Wolę zostać w domu.

Doktor (poważnie).

Mylisz się panno Zefiryno. Radziłem wody krajowe, a to dla tego, że powietrze tam również zdrowe jak poza granicami, a czasby już był abyśmy nie z bogacali drogą miejscowość, zagraniczne jeno dla tego aby zadawać szyku, pochwalić się, żeśmy byli w Marienbadzie, Karlsbadzie lub innym badzie. We wszystkim powinna przewodnikiem naszym być idea przewodnia. Czy pani mnie rozumie.

Zefiryna (z niechęcią).

Idea? To znaczy poświęcić siebie, własną przyjemność, swoje ja! Nie, tego nie rozumiem.

Doktor.

Zapominasz pani, że jesteś dzieckiem kraju, dla którego masz obowiązki.

Zefiryna (zdziwiona).

Obowiązki? Nie rozumiem. Chcę używać życia i być szczęśliwą i to jest celem moim.

Doktor.

Wpływ to cudzoziemskich kierunków — niewłaściwego czytania, które ci przedstawia życie, nie takie, jakie jest w rzeczywistości. Pani nie widzi tego co panią otacza, jeno zapatrzona jesteś w siebie. Jesteś pani istotnie chora, ale jestto choroba duszy, która mieszka w zdrowem na pozór ciele, dla tego życzę jedź pani w góry. Tam może inaczej zaczniesz myśleć wśród ogromu wielkości Bożej. — Owionie cię powietrze z wierzchołka Babiej góry — poznasz Kraków — przemówią do ciebie zabytki naszej przeszłości, a wtedy może inaczej sądzić zaczniesz o życiu. To moja rada pani dobrodziejko, (zwraca się do matki) a teraz działajcie według własnej woli.

Zefiryna (która w czasie mowy doktora słuchała uważnie zwraca się do matki).

A więc jedźmy w góry, nie mam nic przeciwko temu.

P. Eulalja.

Pocziwe dziecko, kochane dziecko więc jedziemy jaknajprędzej. A co ona tam ma pić, czy się kąpać. Może mleko kozie ją wzmocni, powiedz doktorze?

Doktor.

I ja tam jadę, o wszystkim pomówimy na miejscu.

Zefiryna (do matki).

Pomyśleć trzeba o toalecie stosownej, mogą tam być goście z różnych stron świata. Należy przedstawić się godnie.

P. Eulalja.

O wszystkim pomyślemy, tylko bądź szczęśliwa i wesoła.

Doktor (bierze kapelusz).

Żegnam panie — spieszę, chorzy czekają (podaje rękę pani Eulalii, kłania się z daleka Zefirynie i wychodzi).

SCENA VI.

Ciż bez doktora.

P. Eulalja (spiesznie idzie ku córce).

Zefirciu, sądzę, że sukienki które sprowadziłam z Warszawy wystarczą na ci podróż i pobyt kilkotygodniowy.

Zefiryna.

Chyba mamusia żartuje, ależ to niestosowne zupełnie. Trzeba się przedstawić jak należy, jako polki! Tyle rzeczy potrzeba których nie mam, że chyba najlepiej sprawić w Krakowie lub dojechać do Wiednia. Jak cię widzą tak cię piszą! Za granicą możemy od biedy uchodzić za hrabiów.

P. Eulalja.

Ty moje dziecko, bez anonsowania wyglądasz na hrabiątko. Już ja cię ustroję jak lalkę. — Ojciec ci niczego nie pożałuje.

Zefiryna.

Idę do siebie przygotować się do podróży bo spieszyć należy. Będę się przebierała u wód po kilka razy, tak jak ta Fechuou, o której czytałam zwróciła uwagę nawet księcia.

P. Eulalja.

Będą cię podziwiali!

(Zefiryna wychodzi drzwiami na prawo, a Gąsiewicz wchodzi temi w głębi).

SCENA VII.

P. Eulalja. Gąsiewicz—w letnim paltocie, kapeluszu słomianym, ociera pot z czoła.

P. Gąsiewicz.

No, cóż, cóż, moja Eulalciu, zgodziła się Zefircia, — jedziemy, co?

P. Eulalja.

Zgodziła się, pocziwe dziecko, przystała. Musiemy jechać jaknajśpieszniej, aby się nie odmyśliła.

P. Gąsiewicz (zacierając ręce).

A tak, tak trzeba śpieszyć. — Ciepło, pogodnie.—Już podałem się o pasport, za parę dni możemy wyjechać. Wszystko w pogotowiu. Flota gotowa, więc żeglujmy naprzód. Szkoda tylko, że nie do Anglii, szkoda, bo to proszę ja państwa, to moje marzenie.

P. Eulalja.

Jedziemy dla zdrowia dziecka Boniu, to ważniejsze.

P. Gąsiewicz.

Prawda, a w przyszłości może mnie pomyślny los zawiedzie do Wielkiej Brytanii, ufajmy!

ZASŁONA SPADA.

II odsłona aktu I-go.

Scena przedstawia główną aleję w Szczawnicy—z prawej i z lewej strony ławki, pomiędzy niemi drzewka, można ustawić hojne uciętą lub świerki naśladujące las. — Z lewej strony — wśród zieleni źródło do którego prowadzi między drzewami przejście, przed tem baryera. — Przy niej stoi Labusiewicz w grubym paltocie wataowym, kapelusz słomiany — wąsy zamaszyste, przy nim żona jego. — Suknia skromna czarna — mantyla staroświecka obszyta koronką. Kapelusz dawnej mody, na rękach mitenki czarne, — trzyma w ręku kubek na wpół napelniony, który podaje córeczce 8 letniej, ta odpycha kubek, krzywi się. Dziewczynka ma długą do kostek sukienkę, krojem dawnym, kapelusz pasterka — opasana czerwoną wstążką, włosy w dwa warkoczki splecione. Z drugiej strony do źródła dąży baron Pięcki — ubrany podług ostatniej mody, małe wąsiki nad ustami—głowa w górę wzniesiona, — kwiatek w bułonicie — w ręku szpicruta prowadzi pod rękę żonę w jasnym kostiumie — kapelusz takiż sam — wszystko bardzo szykowne. W ręku ma wachlarz i bukiet świeżych kwiatów. Idzie z głową podniesioną nie oglądając się. Baron przechodzi około Labusiewicza, potrąca go, kubek wypada mu z rąk; a zawartość, wylewa się na suknię baronowej, Labusiewicz przestraszony chce się usunąć, zaczyna się o parasolkę jej — i o mało nie pada.

SCENA I.

Herminja baronowa, — baron, — Labusiewicz, — Labusiewiczowa i Felcia ich córeczka.

Baronowa.

Quelle maladresse, ciell ma pauvre robe.

Labusiewicz.

Proszę darować pani dobrodziejo łaskawa, serce, serdenko — proszę przebaczyć, najniższemu słudze, jego niezgrabność. — Popisał się ja, jak Grabski w tańcu.

Baron.

Daruje pan. Nie jestem prezentowany.

Labusiewicz.

Do usług, do usług — serdenko serce, mój łaskawco dobrodzieju, jestem Labusiewicz z Piszczymyszek, aż z za Kowna — wieś ładna 60 naszych włók ornej ziemi i las jest — a to żona moja Pelagja z domu Matalejko a to jedyna córeczka Felisia. Dziecko prekosne, trochę chore, dla niej to tu jesteśmy, no, a że człowiek już wlaź jako grzyb do kosza, to i pije te smaczności z żętycą.

Baron.

Bardzo mi przyjemnie, ja zaś baron Pięcki do usług, obywatel Galicyi, eksploator studni naftowych, odkrywca takowych — z pod Krosna,

a ta pani, którą pan zagniewałeś, a raczej ja gdyż to moja, dalibóg, moja niezręczność wytrąciła kubek z ręki — to moja małżonka.

Labusiewicz.

To mnie należy prosić o łaskawe darowanie winy, ścielę się do stópek i zawiniwszy, przepraszam (chce wziąć baronową za rękę ta się cofa).

Baronowa (podaje końce palców).

Bardzo przyjemnie! (na stronie) co za śmialek, nie czeka, aż ja mu dam rękę, podaje pierwszy. A mój pan mąż, zaraz zaczyna rozmowę.

Baron.

Pan dobrodziej z Litwy. Piękny kraj, lesisty. Tam podobno niedźwiedzie chodzą tak jak psy domowe, hoduja jak u nas papugi. (Panowie rozmawiając przechodzą na lewo. — Baronowa zasiada w ogromnym fotelu. — Za nią staje panna służąca baronowej, która weszła przed chwilą z szalami, z flaszką mleka koziego, kaloszami i parasolem.

Labusiewicz (do barona, obaj siadają).

Ha, ha, ha, to serdenko serce, jakbyś tam był. W moich Piszczymyszkach jest niedźwiedź obłaskawiony, któremu ja złowił małym, suży na dwóch łapach i obraca rożen z kurczętami. (Baron rozweselony — śmieje się, wchodzi doktor i kłania się wszystkim. Baronowa wyciąga do niego rękę).

SCENA II.

Ciż i doktor.

Baronowa.

Doktorze ratuj, umieram, taki upał.

Doktor.

Baronowa skończyła pić dziś wody.

Baronowa.

Trzy kubki, czwartego nie mogłam, rozdrażnienie nerwów, zawrót głowy. (do służącej). Eliżko, moje sole. (Służąca podaje flakon, baronowa wacha).

Doktor.

Odwagi, jesteśmy na początku sezonu, będzie coraz lepiej.

Baronowa.

Obyś był dobrym prorokiem.

SCENA III.

Ciż, państwo Gąsiewiczowie i Zefiryna.

P. Gąsiewicz w długim angielskim surducie w kratki — na głowie dżokejka, pod pachą parasol, w ręce drugiej książka Bedcker, otwarta — czyta. Gąsiewiczowa wystrojona pretensjonalnie, kapelusz z wielkimi piórami. —

Zefiryna ubrana modnie, kapelusz z piórami i kwiatami. Kubek przy boku na pasku, idzie obok ojca z jednej, matka z drugiej strony.

Baronowa (do doktora).

Nowi goście. — Kto to taki, czy znasz ich doktorze?

Doktor.

Bogaci przemysłowcy z Królestwa.

Baronowa.

Z Warszawy?

Doktor.

Nie z Łodzi.

Baronowa (krzywi się).

Parwenjusz! c'est ça! Eliżko daj mi sole i szal cieplejszy. — Czuję chłód w powietrzu. (wkłada szal).

Baron (do Labusiewicza).

Pan dobrodziej nigdy nie widział jak się dobywa nafta?

Labusiewicz.

Jaż nie widział nigdy. Wszak to w Galicyi jej moc.

Baron.

Tak jest. Na Litwie nikt jej nie znalazł.

(Przez ten czas Gąsiewiczowie doszli do źródła wypili wodę — idą na przód sceny. Gąsiewicz chce się ukłonić, z jednej strony córka, z drugiej żona, zatrzymują go).

Zefiryna.

Papo — ależ nieprezentowany. Nie znamy towarzystwa tego.

P. Gąsiewiczowa.

Boniu zmiłuj się, skompromitujesz nas.

P. Gąsiewicz.

Racja — anglik nie odzywa się do tych których nie zna, yes. (sposstrzega doktora). Ach! kochany doktor nasz. Witamy, witamy!

Labusiewicz (do barona).

Nowe figury. Baron ich nie zna?

Baron.

Nie znam, muszą być z Kongresówki, od razu znać że nie nasza Galicja.

Labusiewicz.

I nie Litwa, serce serdeczko, takie to zamaszyste.

Doktor (do Gąsiewicza).

Jesteście — to dobrze. Czy chce pan abym go zaprezentował moim pacjentom.

Gąsiewicz.

Yes, yes — proszę.

Doktor (prezentuje ich wzajemnie).

Państwo Gąsiewiczowie z córką panną Zefiryną (do Gąsiewiczów). Baronostwo Pięccy i państwo Labusiewiczowie.

(Baronowa zaledwie skinęła głową. Gąsiewicz chce jej podać rękę — z jednej strony żona, z drugiej córka ciągną go. P. Eulalja przysiadła obok Labusiewiczowej na ławce.—Zefiryna obok Pięckiej. Gąsiewicza sadzają pomiędzy sobą Labusiewicz i Pięcki).

Gąsiewicz.

Panowie z dwóch przeciwnych biegunów, a ja niby oś ziemi, dziwne to.

Baron.

Pan z Łodzi panie, to miasto przemysłowe wznosi się. Te Szajblery bogacze, mają pałace.

Gąsiewicz.

Niemcy proszę ja państwa, ale chwalić Boga i moja willa de Gąsiewicz, nie ustępuje. Mam wielką fabrykę obok niej i pod tytułem Honit soit qui mal i pansit, na wzór angielskich przemysłowców. — Nowy mój pomysł Europa podziwiać będzie wkrótce.

Labusiewicz.

Wolno wiedzieć jaki to rodzaj wynalazku?

Gąsiewicz (tajemniczo).

To mój sekret, jeszcze wyjawić nie mogę. Ojczyzna o tem nawet nie wie jeszcze.

Baron.

Słusznie — rzecz osobista. Kiedy kopalem studnię nawet o miedzy nikt nie wiedział, gdzie zacząć.

Gąsiewicz (uśmiecha się).

Studnię, co to tak jak u nas wodociąg.

Baron.

Ależ nie panie. Pan nie widział studni naftowych? Opowiem panom.

Baronowa (z westchnieniem).

Już mój mąż wsiadł na swego konika, c'est fini.

Baron (wstaje z ożywieniem).

Stajemy w miejscu gdzie znajduje się naftowa studnia (rysuje łaską) n. b. jest to tylko nazwa, studnie te znajdują się pod ziemią — taka studnia jest o jakie 60 metrów pod ziemią, na wierzchu zaś widzicie tylko druty, które jakby pająki rozkładają swoje stunożne ramiona na wszystkie strony i w ciągłym są ruchu. Zapuszczam świder czyli tak zwane dłuto, wybieram łyżką ziemię, idzie to jak z płatka. Przewiercam skałę i jak tryśnie nafta panowie, to bije, bije, noc i dzień. Nieocenione korzyści. — Kapitał zakładowy powiększa się dwójnasób, trójnasób, mam 40 od 100 rocznie, bez trudu. — Nafta płynie, pieniądź płynie nieproszony. — To daje nafta! (Kładzie ręce w kieszenie i buja się na palcach).

Labusiewicz.

Szalony interes serce serdeńko, gdyby tak przewieść to do Piszczymyszek.

Gąsiewicz (zamyśla się).

Obiecana ziemia ta Galicja!

Baronowa (do Zefiryń).

Pani pierwszy raz w Galicyi?

Zefiryń (nieśmiało).

Tak pani baronowo.

Baronowa.

A jak się jej tu podoba?

Zefiryń.

Jestem zachwyconal

Baronowa.

Czy nigdy nie podróżowała? A tu czy: pour plaisir czy dla zdrowia? (do Elizy) Elizko sole! (wacha).

Labusiewiczowa (do Gąsiewiczowej).

To pani córeczka ta ładna panienka?

Gąsiewiczowa.

Tak, jedynaczka, słabego zdrowia, dla niej tu przyjechaliśmy. Jeszcze młode to, ale inteligentna nad wiek, czyta we wszystkich językach jak po polsku.

Teatr domowy. — Tom II.

Labusiewiczowa.

Pani ma już pociechę. Nasza taka mała jeszcze błazniczka (do Felisi) ukłoń się pani.

P. Eulalja (głaszcze ją po głowie).

Milutka, czarne oczęta, pewno niemyte, że takie czarne?

Felcia.

Stary komplement.

Labusiewicz.

Serdeńko kochanie—to niegrzecznie tak mówić,—odrzeką się i w łaskawych oczach pani.

Doktór (rozmawia półgłosem z baronową i Zefiryną zwraca się do reszty osób).

Proponuję wycieczkę w góry do trzech koron i na miejsce gdzie stał dawniej Czerwony Klasztor, albo do Czorsztynu, wreszcie do Zakopanego. Zdrowie moich łaskawych pacjentów, nie ucierpi na tem.

Baronowa.

Byle niedaleko, bo chodzić nie mogę.

Zefiryna.

Czyż nie możnaby dostać dla pani baronowej—karety?

Labusiewicz.

Widać, że pani z miasta i nie była nigdy w górach, taki statek, panienko, to nie na po-

droże takie. Na osiołku tylko można dojechać, albo w^{szaraganie}, czy jak go zwiecie.

Baron.

Szaraban—nająć można dla państwa. Ja mam swoje konie. Są jednak miejsca nie do przebycia—Herminja może niżej pozostać, my zaś na wyżyny podążymy.

Gasiewicz.

Potrzeba wziąć kij specjalny na wycieczki i mekentosz.

Labusiewicz.

Wyberzemy dzień pogodny.

Doktór.

Nigdy pogodzie w górach zbyt ufać nie można. Burze też tu są częste.

Herminja (z przerażeniem).

Boję się burzy. Je tremble, na myśl samą—wolę nie jechać.

Zefiryna.

Prosimy, niech pani baronowa nie pozbawia nas swego towarzystwa, — błagamy.

P. Eulalja.

Bez pani nie będziemy mieli przyjemności.

Gasiewicz.

Przez przepaście, przeniesiemy słabe kobiety.

Labusiewiczowa (do męża).

Żebyś się tylko nie zaziębił, możebyś wziął futro, bo w górach przeciagli!

Doktór.

Więc zgoda na wycieczkę?

Baronowa.

Zgoda, byle doktor był z nami!

Doktór.

Pogoda sprzyja, więc jutro?

Labusiewicz.

Wezmę flobert, a może baron zechce strzelać do celu?

Baron (z przekąsem).

Lepiej sztucer,—a nuż niedźwiedź, zabłąka się z Litwy z Myszypiszczy.

Labusiewicz.

Z przeproszeniem z Piszczymyszek, o, to dla niego za daleko!

Labusiewiczowa.

Chryste Panie zachowaj, a nużby nieszczęście. Tu słyszę są niedźwiedzie. Fortunieńku, strzeż się nieboże.

Gąsiewicz.

Niech się pani nie obawia, wszak nas jest

kilku. Mam i ja rewolwer i laszkę angielską wezmę te wszystkie przybory, oraz porter dla nabrania odwagi.

Labusiewiczowa.

Trzeba wziąć też zapasy na drogę,—ja biore litewskie wędliny.

Felisia.

Tylko aby niech mama nie bierze tej kielbasy, bo już nie pachnie, fe!

Labusiewiczowa.

Co też ty pleciesz dziecko. Cały świat zna litewskie wędliny.

Baronowa (ze śmiechem).

Enfant terrible!

P. Eulalja!

To delicje taka wycieczka!

Baronowa (do Zefirynty).

O, mama egzaltowana!

Zefirynta.

Więcej ma energii niż ja!—Moi je tremble. Boję się grzmotów.

Baronowa (wstaje).

Elizko sole, parasolka, masz wachlarz? (kłania się wszystkim). Żegnam.

Gąsiewicz.

Padam do nóżek pani baronowej!

Labusiewicz.

Najniższy sługa!

Labusiewiczowa (dyga).

Do widzenia (do Felisi) ukłoń się.

Felisia.

Jeszczeby też dla wykrzywionej (matka zasłania jej usta).

Doktór.

Jutro punkt zborny u źródła o szóstej.

(Baronostwo wychodzą—Gąsiewiczowa i Labusiewiczowie razem, Zefiryna z doktorem).

Gąsiewicz (zostaje za innymi).

Kij, mekentosz, kapelusz a la Rinaldo Rinaldini najstosowniejszy, ale i pudełko wezmę z innymi kapeluszami, nuż deszcz? Pled:—yes (wychodzi pompatycznie).

KONIEC AKTU I-go.

AKT II.

PIERWSZA ODSŁONA.

Scena przedstawia wąwóz, na lewo odłam skały z dwóch stron wejście. Skały łatwo zrobić pokrywszy szarem płótnem meble jedne na drugich ustawione. Zdale słychać grzmot za sceną.

SCENA I.

Wchodzi Gąsiewicz w długim gumowym płaszczu, kapelusz z dużym rondem, przy rondzie biały welon wisi z tyłu. W ręce jednej kij sękaty, u góry z siekierką, w drugiej pudło z kapeluszami, półbuciki sznurowane żółte, przez ramię przewieszona podróżna torba, duży biały parasol.

Gąsiewicz (ogląda się naokoło, stawia pudełko).

Gdzie jestem, zbłądziłem wśród wertepów. Nieba, co za wydarzenie! Wyjeżdżamy, dzień prześliczny, słońce świeci, aura przepyszna.

Zachwycamy się widokami, posilamy znakomitościami gosposi litwinki. Pijemy porter. Zadowolnienie ogólne.—Doktór w humorze anielskim. Zachwyt wobec cudnej natury, unosi mnie. Chcę zbadać z bliska oddalone widoki—porzucam towarzystwo, pomimo przestróg przewodnika, wędruje sam. Cisza błoga mnie otacza, czuję się panem przyrody. Nagle, z pogodnego nieba, bęc, bęc! ciemność mnie ogarnia.—Chmury zamiast ponad głową pędzą u stóp. Wołam, nikt mnie nie słyszy. Pioruny przelatują koło głowy jak race — drzę. Przywodzę sobie na pamięć spokój anglika, który w mojem położeniu, stanąłby jak olbrzym, podał pierś na pociski. Daremnie. Uf! (siada około skały). Gdyby choć ktoś z towarzystwa był ze mną. — Deszcz pada. — Oto chwila w której należy zmienić kapelusz.—Ten sprowadzony z Afryki schowam, wzbudził zachwyt. Na szczęście mam z sobą pudło. (wyjmuje 6 kapeluszy układa je). Oto jest ceratowy najstosowniejszy. — Chodź bratku! (Kładzie na głowę resztę wkłada do pudełka. Nowe grzmoty). Ś-ty Bonifacy, patronie mój, znów kanonada, deszcz zaczyna padać—skryję się za skałę. Siada za skałą na ziemi roztwiera parasol i zakrywa się cały — widać tylko nogi.

SCENA II.

Labusiewicz wchodzi — Strzelba na ramieniu, futerko krótkie, czapka barankowa — kij okuty — spodnie w wysokich butach.

Labusiewicz.

Święty Fortunacie łaskawco mój, strzeż grzesznego mnie robaka, wyprowadź z tej przygody— zdala od swoich penatów, zginać tak marnie! prawdziwe przysłowie: chłodno, głodno, do domu daleko! Nie widziawszy zwierza żadnego, zginać jak mucha w miodzie! Nie daremnie dziś rano moja Pałasia widziała pajaka, a Felisia lewą wstała nóżką. — Zły omen mówię, ostrożność! Zawsze noszę przy sobie kawałek wilczej skóry, dziś obszukałem — nie znaleźć, któraś błazniczka musiała czyszczyć ubranie, wyrzucić. (Wszystko to mówi Labusiewicz na lewo na przodzie sceny) oparty o skałę. — Nowe grzmoty — mrok).

Gąsiewicz (z pod parasola).

Aj, aj, aj, aj!

Labusiewicz (przerażony).

Jakiś głos słyszę.—Zwierz opodal bezsprzecznie. Formuj się. Czy tylko broń nabita? (ogłada) gotowa! (woła) Hej bestjo nieoskrobana! powitam cię podwójnym nabojem — poczekaj! (celuje).

Gąsiewicz.

Ratunku, ratunku — zbójcy, ratujcie!

Labusiewicz (spuszcza broń).

To serdenko nie zwierz. — Głos to ludzki!
Co widzę? (podechodzi) Parasol! (chwytając parasol wyrwa Gąsiewiczowi — poznaje go). Serce, cóż pan tu
robisz i jeszcze z parasolem, toż elektryczność
sprowadziwszy na głowę, zginać przyjdzie.

Gąsiewicz (zrywa się i rzuca w objęcia Labusiewicza).

Wybawco, ty tutaj! oj, ta wściekła burza!

Labusiewicz.

Ale któż rozpina w czasie niej parasol?
Deszczochrony na burzy w górach to naturalne
piorunochrony, prosto w nie uderzy piorun
i koniec. Lepiej zmoknąć jak zginać, mówi
przysłowie.

Gąsiewicz.

Już byłem pewny, że zginę od pioruna i jaki
zwierz mnie pożre. Mnie przemysłowca i koniec!
Moje wynalazki, wszystko przepadnie, płakałem
na swoim pogrzebie — aż mnie niebo ciebie
łaskawco zesłało. Gdzie panie nasze — nie
widziałeś je?

Labusiewicz.

Nie. — Zaraz po panu, powlokłem się, po-
myślawszy, on poszedł dla spaceru, ja pójdę



Ratunku! zbójcy! ratujcie!

dla polowania, a nuż ptaka jakiego przywiozę w moje strony. Aż tu zaraz burza mnie otoczyła—zakryła mnie miejsce, gdzieśmy spoczywali.

Gąsiewicz.

Teraz nam rażniej we dwóch.

Labusiewicz.

Tak, dla towarzystwa dał się cygan powiesić—może się serce boisz, przypadkiem.

Gąsiewicz.

Cóż znowu! ja który tyle posiadam zimnej krwi jak anglik. Okryłem się parasolem od błyskawic, bo to ponoć na oczy szkodliwe. (Nowe grzmoty.

Gąsiewicz (chwytając za rękę Labusiewicza).

Chodźmy, może znajdziemy schronisko po drodze, bo choć deszcz mnie zmoczył do nitki, cały jestem spotniały, zaszkodzić mi może przy kuracji.

Labusiewicz (na stronie).

Koroniarz się boi, w tem sekret serdeczko, a udaje zucha (głośno). Wyjaśnia się, zdaje mnie się, że poznaje okolice, chodźmy. — A nie zapomnij serce swoich manatków.

Gąsiewicz (zabiera parasol).

Jakoś mi zimno, ochłodziło się.

Labusiewicz.

To klimat taki w górach. Moja Pałasia ma rozum serce, kazała mi brać futerko — i przydało się. (Mają wychodzić, kiedy wchodzi baron i bankierowa).

Bankierowa ubrana wytwornie, dużo świecideł—łańcuch złoty — binokle w złoto oprawne, podpira się z jednej strony na parasolce, z drugiej na ramieniu barona.

Bankierowa.

Jak ja się boję panie baronie!

Baron (doprowadza ją do odłamu skały, na którym ona siada).

Baron.

Co za szczęście — panowie — zechciejcie dopomódz aby przeprowadzić tę damę, która zabłądziła. — Będąc wśród innego towarzystwa—w tych stronach odeszła kawałek naprzód i zmyliła drogę, a na domiar nieszczęścia wykreśliła nogę. — Burza ucichła w tej chwili, obawiam się jednak by nie powróciła. Gdyby można się dostać pod góralską strzechę.

Gąsiewicz (do baronowej).

Służę pani, jestem kawalero serwante.

Labusiewicz.

I ja też serdeczko.

Baron.

Ci panowie to moi znajomi z Szczawnicy. Obywatel z Litwy Labusiewicz — przemysłowiec z Łodzi Gąsiewicz.

Bankierowa.

Moi panowie bardzo mi przyjemnie zrobić tę znajomość przygodną. — Nieszczęśliwa noga opuchła na razie. Jestem ze Lwowa. — Mąż mój dla interesu wyjechał do domu, zostawił mnie samą, odważyłam się na wycieczkę która nieszczęśliwie się zakończyła. Przyznam się, że się boję grzmotów i gdyby nie baron — nie wiem co by się ze mną stało.

Labusiewicz (spogląda na nogi baronowej).

Nieszczęśliwe obcasy temu winne, wszak kobiety chodzą jak na szczydłach.

Gąsiewicz.

I szczęśliwie że nie napadli rabusie, bo pani bankierowa, byłaby nielada pokusą.

Bankierowa

Obawiałam się też słusznje. — Ale noga mi dokucza okropnie.

Gąsiewicz.

Z nami jest doktor, coś pani poradzi.

Bankierowa.

Pomóżcie mi biednej kalece,—proszę.

Labusiewicz (na stronie).

Patrzebna ta znajomość — zmokniemy, jak holenderskie śledzie. (Baron podaje rękę bankierowej z jednej Gąsiewicz z drugiej strony, Labusiewicz idzie naprzód).

SCENA IV.

Skoro wyszli z drugiej strony wchodzi oparta na ramieniu doktora okryta szalem drżąca baronowa,—Labusiewiczowa z Gąsiewiczową prowadzą za rękę płaczącą Felisję.

Baronowa.

Voilà. Doktorze — czuję, że dostanę zapalenia płuc, pleury, po takim upale, to zimno nieprzewidziane, a Eliza zginęła z szalami ciepłymi. Nie mam kaloszy, zakatarzę się, na nic kuracja!

Doktor.

Niech się pani uspokoi, proszę pani baronowej, deszcz ciepły nie zaszkodzi. — Zresztą tu klimat wyjątkowy. Takie przewroty w naturze czynią nieraz cudowne uzdrowienia. Zaraz skryjemy się pod dachem góralskim u matki Brygidy. Jeszcze kilka kroków. — Odwagi.

Baronowa.

C'est beau doré, a ja już sił nie mam, je succombe.

Labusiewiczowa.

Co za przygoda, ach! odbędę pielgrzymkę do miejsca świętego, jak wrócę szczęśliwie do domu. Gdyby odnaleźć mego Fortunata (do córeczki) no Felisienko nie płacz serce, nie płacz, moja mała.

Felisia (placząc).

Boję się, boję, jeść mi się chce, jestem zmęczona, chcę do domu mameńko, do domu.

Gąsiewiczowa.

Moja Zefiryna zginęła, przepadła, nigdzie ani śladu, a mąż również nie wiem gdzie się podziewa. Nasłuchałam się nie mało o niedźwiedziach, rozbójnikach, tych sławnych Janosikach w górach, może go uprowadzili i dziecko moje jedyne. (przechodzi na drugą stronę, spostrzega pudło z kapeluszami, wydaje krzyk przerażenia i pada zemdlona. Doktor biegnie do niej, i czuci).

Baronowa (przestraszona).

Ciel, co to jest, co jej się stało!

Labusiewiczowa (chwytając Felisję).

Uciekajmy niedźwiedź, jako żywo.

Gąsiewiczowa (przychodzi do siebie.)

Doktorze ratuj mojego męża, uprowadzili go rozbójnicy. Patrz, to jego pudełko z kapeluszami, nie zdążył go zabrać w pośpiechu, on tu był, tu, po raz ostatni, (otwiera pudełko). Ostatnia spuścizna kapelusze, czapki, tego tylko nie zabrali łotrzy, bo to dla nich bez wartości. — Wołajmy o pomoc doktorze. Policji, ratunkul Również i Zefirynę uprowadzono w górę — o ja matka nieszczęśliwa (łamie ręce, płacze). To moja wina, ja chciałam tej wycieczki, tej podróży (pada wysiłona przyciskając do siebie pudełko).

Doktor (daremnie chce przyjść do słowa).

Na Boga niech się panie uspokoją, tu nie ma rozbójników, to dobry znak te pudełko, pani mąż musi być niedaleko. (Nowe słychać grzmoty). Ale nam się spieszyć trzeba, gdyż burza powraca, byleśmy dotarli do chaty, do portu. Proszę o trochę zimnej krwi. — A to nieszczęście z temi kobietami.

Labusiewiczowa.

Łatwo mówić serce doktorze, ale co my pocniemy same. Mojego Fortunata niedźwiedź pożarł, bo to on zaciekł na niedźwiedzie jak pszczoła na miód.

Gąsiewiczowa.

A moja Zefiryna, jedynaczka moja, takie to

było ładne, tak ją z trudem hodowałam, i na to aby ją utracić!

Labusiewiczowa (płaczliwie).

Takie to było milusienkie, wysmukłe, jak mandarynka w abfelionowej skórce!

Baronowa.

Mój pan mąż, także nierozważny, aby mnie w takiej chwili opuścić.

Felisia (która usiadła na ziemi).

Do domu, do domu mamciu! jeść mi się chce.

Doktor.

Proszę was moje panie o łaskę, chwilę zimnej krwi. Idźmy, bo wieczór zapada,—a wtedy naprawdę stracimy ślad drogi.

Baronowa.

Prowadź doktorze i ratuj (bierze pod ramię doktora i wychodzą. Za nimi Labusiewiczowa niesie prawie Felisję, Gąsiewiczowa niesie pudło i ociera łzy. Nowe grzmoty. Z przeciwnej strony wchodzi Zefiryna).

Włosy rozwiane, twarz blada, podpira ją Wawrzek. — Chwieje się i doszedłszy do skały usuwa się na jej zrab, Wawrzek silny góral—w obcisłym góralskim stroju, kapełusz otoczony muszelkami.—Kij duży z siekierką stalową.

SCENA V.

Zefiryna, Wawrzek.

Zefiryna.

Ani kroku dalej! Uprowadzasz mnie, nie wiadomo gdzie. Te grzmoty, te błyskawice! Boję się i sił mi nie staje.

Wawrzek.

Paniusiu odwagi, cego to się paniusia jagódka boi? he.

Zefiryna.

Wszystkiego i tych grzmotów i chmur czarnych i tych przepaści, nad którymi wiodłeś mnie i tego, że straciłam z przed oczu rodziców.

Wawrzek.

Ot dla Boga, toć się znajdują, aboć to spilka cy co, schowali się przede burą. — A ja paniusię doprowadzę, ino chodźcie rażno, boć raz już was desc sprął to i jesse rozmokniecie aż do cna.

Zefiryna (zrywa się na stronie mówi do siebie).

O Boże! a może ten mniemany góral, to rozbójnik? Uprowadził mnie aby ograbić, zabić, tak jak to czytałam w ostatnim romansie. Nie-szczęśliwa Laura byłaby padła ofiarą rabusia, który chciał ją rzucić w przepaść niedostępną

i byłaby zginęła, gdyby nie odważny Ludwik, stoczył bój z rozbójnikiem i oddał rodzicom. Ale mnie nikt nie uratuje. — Zdala od swoich zginąć muszę, tak młodo! Boże!

W a w r z e k (odwrócił się, bada za skałą widnokrąg i powraca).

Chmurka odesła na wschód, to i nie wróci, jeżeli jaka nie wylezie z północy, hale to często se trafi, że jak se zejną to znów zacnie się nowa zlewa. — Byłoby już dosyć.

Z e f i r y n a (patetycznie).

Powiedz człowieku prawdę jakie masz zamiary? Jeżeli pragniesz mojej śmierci, to mi powiedz, niech się przygotuję.

W a w r z e k (skrobie się w głowę).

A niby co paniusia se myśli, cy jesteście daleko—hale, niewiadomo jak nam się uda. — Niby to niedalecko, a przecies to i nie blisko.—Jeszcze trza iść w dolinkę i na skraj tej góry i chata moich, — a tam to i wśród bury bezpiecznie, nikt tam nie dońdzie chto nie zna drogi, tak przespieczno.

Z e f i r y n a.

Mieszkacie tam sami, czy macie towarzyszy (na stronie). Muszę się dowiedzieć, może ich kilkunastu, a on herszt bandy.

W a w r z e k.

Mieszkawa chwalić se nie moze, chleba nie brak w chacie; (pokazuje kij) ten nas żywi już lat kilka.

Z e f i r y n a (z przerażeniem).

Nie omyliłam się — żyją z rozbojów

W a w r z e k (przysuwa się do niej).

Niechno się jagódka na mnie oprze i nie smućta się ino—bo haj to nic strasznego,—a że ta trochę senahuka to nic—nie znaczy—nic się nie stanie złego. (Chce ją wziąć za rękę).

Z e f i r y n a (odsuwa się z gniewem).

Nie dotykaj mnie, zdaleka. Ach te wasze góry przekłete, te góry. Nienawidzę je. Cemu tu przyjechałam, nieszczęśliwa!

W a w r z e k (oburzony).

Co wy mówita, o rety! Pzekłete góry, nase, te ukochane! Te góry co nam tak drogie, jak oko w głowie. Cy wy jaka, niemkini, cy jaka heretycka! Bo jak mi Bóg miły nigdy nie słyszał ja byh, aby chto z wiernych dzieci tej nasej matki ziemi, nie sedł po tych górach inacej ino z miłością i zachwyceniem! Skoro dochtór przyjechał do nas po raz pirsy to ukląkł se u Upłasu i zawołał se: „Matko ty nasa Babia Góro, coś wychowała poduchwałych synów

swoich — górali silnych, bądź błogosławiona, a potem se pojada do mnie. Słuchaj ty no Wawrzek pada, ty mas minę zucha, ja cię wezmę do Warsiawy — nauczę ja cię wyznać nozykiem i wiele innych rzeczy. — Zabrał ci mnie on do wielkiego miasta. I cały ja bez rok nie widział tych gór kochanych. — W tym ze mrowisku, toć ja smęcił i sechł i bywało rankiem skoro se świt wstane i lece se za miasto i sukam, kędy wy me góry, — a tam ino wielka płaska ziemia, jak stolisko nakryte, choć to ni by nie spetne, ale nie nase. I choć takie kościoly kamienne tam są, to i modlić się nie mogłem nie, jak wśród tych skał nasych — i gór. Daj góralowi świat cały i bogactwa wielgie, lej mu złoto w usta, to zginie, bez gór swoich! Słońce tu inne i dech inny, tu jam ptak, tu jam król! ponad doliną zafruwam, nad turnie do nieba scernego!

Zefiryna (słuchała zdumiona, na stronie).

Jakiż on poetyczny jak bohater jaki, a jam go posądziła niesłusznie (do Wawrzka). Darujcie mi, Wawrzenty, te słowa moje, powodem ich burza i przestrasz.

Wawrzek (smutno).

Nie sromam się na was paniusiu, wiem, żeście z miasta, a tam insi ludzie, i inne serca. Wyście może i nie byli w Krakowie, u grobu

królów nasych. Mozeście nie widzieli kopca, co to ojców nasych miłość usypała wielgiemu Tadeusowi. Moja siostra Basiecka, zna jak katechizm te wszystkie świętości. Ona bych wam wskazała i smocą jamę i tam gdzie se krył nas Łokietek i wiele innych cudów. Wy tego nie znacie — nie!

Zefiryna (z obrazą).

Przecież znam historję swojego narodu, uczylać się jej.

Wawrzek.

Toć co inszego wiedzieć, ucyć się, a co inszego kochać syrcem — oj, co inszego! — Idźma juz, bo i zmierzch schodzi na góry — i noc bliska. — Rodzeni wasi, też niespokoją się.

Zefiryna (na stronie).

Jakąż naukę otrzymałam od tego górala, wstydzę się, że nie umiałam ocenić to proste zacne serce (do Wawrzka). Prowadźże mnie Wawrzku już się nie boję i ufam wam.

Wawrzek.

Widać zeście nie niemkiny. — Jeno z miasta i tyła!... (wychodzą).

II odsłona aktu II-go.

Zmiana dekoracji.

Wnętrze chaty góralskiej—po prawej stronie okno, w nim parę doniczek z kwiatkami. — Naokoło ławy—przy nich stół. Na ścianie police, na nich misy i garnki.—Z lewej strony komin. Brygida stara góralka stoi przy oknie otwartem i patrzy przysłoniwszy oczy ręką.

SCENA VI.

Brygida (odchodzi od okna).

Juże się bura uspakaja i słońce zachodzi różowo, będzie jarka pogoda. Dzięki Ci Boże ześ uchować racyl chatynę naszą, od nieszczęścia, uchowaj—ze Ojce nas i wnuki moje, od przy-padku w drodze. Wnuk za przewodnika nad przepaściami, a Basia na halach. Oj słyhać idzie od kóz, a pewno niesie mliko, to i dobrze, a nuz chto do chaty zawita. Jest se chleb camy, ziemniaki pieką se w popiele, jest i mosdał gotowy, to będzie galanto! Oto i śpie-

wa moja jagoda, śpiewa nieboze — moje ko-chanie. Bóg takich słucha łaskawie i błogosławi!

(Schyla głowę i stoi zasluchana. — Zdala dochodzi śpiew Basi).

„Odwracaj nocne przygody
Od wszelkiej broń nas skody
Miej nas zawdy w swojej piecy
Boze i sędzio cłowiecy.“

(Śpiew ustał, Brygida otwiera drzwi do chaty w których ukazuje się Basia z konewkami na koromysłach, przez plecy — ubrana po krakowsku. — Serdak odwrócony futrem do góry).

Basia (stawia konwie biegnie do Brygidy i schyla się do jej kolan).

Bywajcie babuniu moja, bywajcie!

Brygida (obejmuje jej głowę).

A tożes nie zmokła, jagodo moja, a gdzie-ześ tę burę przetrwała.

Basia.

Na podhali a ino, boć tam jak się wziena ta zawierucha, toć zdało się co kozy nase pogina.—Była i Juhasowa Maryśka, Zośka i Franka Wojciechów, tośma se wzieni za ręce i otuliły kozy okolusienko. A haj ja to gadam, moje wy złote, cekajta to streżoga (mgła) pędzi, będzie bura. A dopiero jak to gruby statek (bydło) to powesyl, oj wielgi Boze tośma myśleli

będzie koniec. Wzion się taki ryk, takie bieganie, co hale! Ale że tam ani jedliny, ani smerek nie widno to łacniej, gromy uciekły do skał, a choć była perś (steczka) oslizła, tośma dosły wraz.

Brygida.

Chwalić Boga. Ale gdzieś to nas Wawrzek, nie bacys.

Basia.

Co tam jemu, on swarny chłop, to z pewnością — z gośćmi se boryka i tyła.

Brygida (nadśłuchuje).

Cyt — słyszysz zda się od cierpiałki (krzyża) coś jako głos ludzki idzie, to może on wraca.

Basia (patrzy przez okno).

Nie- to nie on, jacyś wyśni ciągną tu do nas.

Brygida.

Retyl żeby se nie zahubić jagodo moja, biegaj po skopce i misy — ot i oni.

SCENA VII.

Ciż, baron wprowadza wraz z Labusiewiczem bankierową, za niemi idzie Gąsiewicz.

Brygida.

Witajta panowie — prosiwa do ogniska —

oj jakie to niebożątka zmocone, pewno aż do bielizny.

Bankierowa.

Ledwie żyję biedna noga moja. Dobra kobieto, poradzcie mi, okropnie mnie noga boli.

Brygida.

A cóż to wam imość, utykacie na nogę? Toć to wam se pewnikiem jakaś bieda przytrafiła.

Bankierowa.

Zwichnęłam nogę w kostce.

Brygida.

Poradziwa, są liście babkowe i skrom zajęcy.

Baron.

Pocziwa kobieto ratujcie tę biedną panią — i dajcie nam czego, aby się posilić. Całą burzę przetrwaliśmy pod gołem niebem.

Brygida.

Dłaboga — to istna bida — jest ognisko rozpalone, obsusta się, — a posiłek będzie duchem.

Labusiewicz.

Cóż to za delicja — dobroczynne ciepło — i jeść dostaniemy. Nie ma jak lud kochany, u nich wszystko znajdziesz, serdeczko!

Gąsiewicz (ogląda się).

A jak tu schludnie, czysto, choć mierność, a lud dorodny, choć maluj. Ta miła staruszka i dziewczyna jak z obrazka Chelmońskiego.

Baron.

Już to niema jak nasza Galicja.—Kraj i lud cudowny.

Gąsiewicz.

Padam do nóg, byle nie burze, bo to piekielne, uchowaj Boże drugiej, skonać by przyszło. Ach! (załamuje ręce) a moje kapelusze, moje pudełko zgubiłem tam przy skale gdzieśmy się spotkali (chce wychodzić).

Labusiewicz.

Ależ serce, zabłądzisz serduszek, toć i wieczór i niedźwiedzie.

Brygida (śmieje się).

Niedźwiedzie, a gdzie ich szukać w lecie, zimą to hale! i nie zawdy.

Gąsiewicz.

A szczególnie, ten duży to przecie sprowadziłem prosto z Londynu.

Baron.

Co niedźwiedzia?

Gąsiewicz.

Ależ nie, co też to pan baron mówi, proszę ja państwa. Mówię o kapeluszach.

Baronowa (której Brygida zdjęła bucik i okłada nogę wodą).

Dziękuję wam dobra włościanko, sownie zapłacę za wasz trud,—a mąż mój obrylantuje was.

Brygida.

Niech ino imość będzie zdrowa.

Baron (do Basi).

Dajcie nam jeść — ale powiedzcie no czy tylko Wawrzek Byk to pewny przewodnik, bo on nas prowadził i pod jego opieką zostały nasze żony.

Basia.

A haj. Owa toć to mój rodzony, nas gazda, galanty chłop, co się zwie.

SCENA VIII.

Drzwi się otwierają, wchodzi doktor z baronową, za nimi Labusiewiczowa ciągnie Felisję za rękę i Gąsiewiczowa.

Gąsiewiczowa (biegnie i rzuca się na szyję mężowi).

Więc cię nie zabili, złoto moje?

Gąsiewicz.

Gdzie Zefiryna? (spozstrzega pudełko). Moje kapelusze! Chwała Bogu.

Gąsiewiczowa (z przerażeniem).

Więc jej tu niema! Zginęło dziecko!

Labusiewicz (do żony którą całuje).

Pałasiu serce jesteś, co za szczęście, a biedna Felisia błażniczka nasza, jaka sterana.

Felisia.

Papeczko — cała mokra jestem i głodna że aż się żołądek przewraca. Jeść się chce!

Doktor (do Brygidy).

Moja babciu Brygido, przyjmijże moich pacjentów, jak ty to potrafisz z całego serca.

Brygida (kłania się do nóg doktora).

Nas dochtór jako żywo, bywajcie! w chałupie nasej! a toć na nas święto dziś, wesele. Biegaj Baśka niczego nie zahub jagodo — boć to nasi goście.

Basia (kłania się do nóg doktorowi).

A haj—ze haj!

Baronowa (kwaśno do barona).

Mon chers takeś mnie zostawił wśród niebezpieczeństwa. Eliza zginęła, przemokłam, bez

kaloszy, czuję dreszcze, — a ty się zajmujesz jakąś nieznaną! nie wiadomo kim.

Baron.

Ciszej przez litość, to bankierowa ze Lwowa, głównego dostawcy nafty, on mi dopomógł do eksploatacyi. — Cofnie kredyt, zginąłem.

Baronowa.

Trzeba było powiedzieć! mon cher, zaprezentuj mnie! (Idzie ku bankierowej). Jakże mi miło, że le hasard, sprowadził nas w tej chacie góralskiej, że możemy być pani użytecznymi.

Bankierowa.

Pani baronowo, mocno obowiązana za jej dobroć — proszę mi darować, że wstać nie mogę, ale fatalny wypadek sprawił, iż wykręciłam nogę.

Baronowa.

Czy nie lepiej pod kompresem? Ależ nasz doktor zaraz poradzi...

Bankierowa.

Już pewną ulgę czuję, lepiej mi, po zdjęciu bucika.

(Baronowa siada obok bankierowej z prawej, a baron z lewej strony, Labusiewicz z żoną i Felisią siadają przy stole. Brygida z Basią przynoszą mleko, chleb, placki, miskę pełną kartofli pieczonych. Basia nalewa w gar-

nuszek mleko i daje Felisi, która się boczy i krzywi, ale w końcu bierze kubek i pije. Gąsiewicz i Gąsiewiczowa stoją na prawo z przodu sceny).

Doktór.

Ale gdzież panna Zefiryna?

Gąsiewicz.

Nikt mi powiedzieć nie może, gdzie jedyne dziecko nasze. — Ależ żono, co z ciebie za matka? Jak mogłaś tak opuścić dziecko. Wprawdzie w Anglii panny chodzą same, jak dzikie kozy, ale u nas nie ma tej cywilizacji, i w górach nie można bezkarnie, samej się puszczać.

Gąsiewiczowa (płacząc).

Nie czyń mi wymówek, wszak widzisz jak cierpię!

SCENA IX

i ostatnia.

Ciż, Zefiryna i Wawrzek.

Zefiryna (rzuca się na szyję matce i ojcu).

Matko, ojczy, ukochani rodzice, nareszcie odnajduję was uratowana.

Wawrzek.

Niech będzie pochwalony!

Brygida i Basia.

Na wieki wieków. — A bywaj—ze bywaj Wawrzku. (Wawrzek schyla się do kolan babki. Basia klepie go po ramieniu).

Basia.

Kędyżeś tak bywał i zatracił se.

Wawrzek.

Nie moja wina. Byłać bura siarcysta, a wyście były w chałupie?

Basia.

Gdzież zaś, byłam na podhalach.

Zefiryna (do rodziców).

Jesteście i zdrowi. A jam o was tak niepokoiła się, o wasze życie.

Gąsiewiczowa.

Nieszczęsna wycieczka. Ileż wycierpiałam.

Zefiryna.

Nie żałujcie tego. Dzień dzisiejszy, to era w życiu mojem. Nigdy nie zapomnę wycieczki tej w góry.

Doktór (zbliżył się do Gąsiewiczów, przy wejściu Zefiryny i słyszał jej słowa).

Czy tak? Nie gniewa się pani ani na mnie, ani na burzę? Owionął panią czar gór, co leczy lepiej choroby pewne, aniżeli my to uczynić umiemy?

Zefiryna (biorąc jego rękę).

Zrozumiałam cię dopiero teraz dobry przyjacielu i sądzę, że nie zawiodę nadziei, które położyłeś w kuracji mi przepisanej.

Gąsiewiczowa.

Więc nie narzekasz na nas ukochane dziecko! za trudy, za przygody.

Zefiryna.

Tylko dziękować mogę (zwraca się do Wawrzka wskazując Basie). A toć to pewno siostra wasza Wawrzku, o której mi mówiłeś.

Wawrzek.

A haj tak.

Basia (która się jej przypatrywała).

To pewno panna z miasta, boć liczko takie białe, nieprzymierzając jak mleko.

Zefiryna (do Basi).

Uściskaj mnie Basieńko, choć widzimy się do raz pierwszy, już cię znam i kocham.

Basia.

Hej z całego serca (całuje ją).

Baronowa (do bankierowej).

Cette petite...—Gąsiewiczówna—widać gąska prawdziwa, patrzcie państwo, jak brata się z chłopami.

Baron.

Ależ ciszej żono. Ojciec jej bogaty przemysłowiec, obiecał mi zarezykować na drugą studnię. — Mówilem z nim. — Nuż posłyszysz, gotów cofnąć.

Baronowa (krzywi się).

Nigdy pierwej nie uprzedzisz.

Doktór (na przodzie sceny).

Udała się wycieczka nadspodziewanie (wskazuje w stronę gdzie baronostwo i bankierowa). Tamci! Daremne wysiłki, dla nich medycyna niema lekarstwa, tam leczyć trzeba, gdzie pomoc nie opóźniona. W organizmie ludzkim rozmaite są mikroby dobre i złe, które walczą o lepsze i które przemogą. I w duszy ludzkiej jest siła zła i dobra. Pytanie która zwycięży — wielką dźwignię w walce tej ostatniej, jest miłość dla ziemi rodzinnej, skropionej krwią wieków przeszłych. Potrzeba ją podtrzymywać, strzedz jak skarbu!

Zefiryna (która słuchała pilnie).

I budzić, kiedy uszpią w egoizmie miłości własnego ja. Skoro się ocknie uczucie to, dokonywa cudu. Czasami parę słów wystarcza, aby cud ten uczynić.

Doktór.

Niech cię Bóg błogosławi!

Gąsiewicz.

Gdyby jeszcze przenieść cywilizację Anglii do nas. — Wszystko zmieniłoby się na pewno. Ja trzymam z tobą doktorze.

Labusiewicz.

I ja też. Cierpliwość to grunt. Po deszczu słońce. Kocham cię doktorze serdecznie.

Bankierowa (która rozmawiała żywo z baronostwem i nie zwracała uwagi na to, co mówił doktor, podnosi głos).

Najpierwsze panie trzymające przym w krajnie mody, noszą suknie obcisłe, kapelusze olbrzymie z kwiatami i piórami, oraz wysokie obcasy, ale one to właśnie stały się powodem żem zwichnęła nogę.

Doktór (do Brygidy).

Zabawimy u was do jutra. — Noc zapadła. Będziecie mieli trochę trudu, ale siana u was nie brak pewno w stodółce.

Brygida.

Gość w domu — Bóg w domu. No, Wawrzek przynies tu siana dla pań — a panom w stodole pościel.

Basia.

I ja biegnę, no, Wawrzek choćwał

Wawrzek.

Ugościć nasego dochtora dobrodzieja, to frajda, hu ha! (podrzuca kapelusz).

ZASŁONA SPADA.

KONIEC.